

**XXI Ogólnopolski Konkurs Literacki im. Marii Komornickiej
Kozienicki Dom Kultury im. Bogusława Klimczuka – KOZIENICE 2023
Andrzej Zawadzki – kategoria dorośli – proza – wyróżnienie**

Godło: Narcyz

Batko

Pierwszy raz, gdy Saszeńka powiedział na pana Andrzeja „Tata” zaśmiałam się. Starszy pan też się zaśmiał i to była jedyna jego reakcja. Nawet - by rozładować napięcie i boleść, jakie zawsze towarzyszyły naszym rozmowom - powiedziałam o tym Hrigorijowi. Znów śmiałam się przy tym, pamiętam. Pewnie tak spontanicznie to po raz pierwszy od przybycia przed miesiącem do. Piaseczna.

Powiedziałam wtedy synkowi coś w rodzaju:

— To jest wujek, Saszeiiko. Tata jest w domu. Pilnuje, by nikt do nas nie wszedł, by nikt nie zabrał twoich zabaweczek. Wiesz? I żeby twój duży miś, którego nie mogłeś wziąć ze sobą, mógł spokojnie spać.

Opowiedziałam o całej sprawie Oldze, gdy zadzwoniła. Obie uśmiełyśmy się przez łzy, które naszym rozmowom stale towarzyszyły. Z siostrą miałam na szczęście ciągły kontakt, odkąd wylądowałyśmy w Polsce, choć nie udało nam się, jak chciałyśmy, trafić do jednego domu — nie było w tym momencie chętniej rodziny, a nawet dwóch, ale mieszkających w pobliżu, by przyjąć dwie kobiety z czwórką dzieci. Mając do wyboru bycie w bezpośredniej bliskości, lecz w zbiorowej hali dla uchodźców pod Nadarzynem, wybrałyśmy jednak rodziny, choć domy dzieliło jakieś dwadzieścia kilometrów. Zresztą Olga nie trafiła do rodziny i do mieszkania, jak ja, a do takiego małego pensjonatu, gdzie zakwaterowano więcej Ukraińców. Ona miała starsze dzieci, więc priorytetem była rodzina dla mnie i moje warunki.

Uciekłyśmy z Kijowa w czwartym dniu wojny: Olga, moja starsza o trzy lata siostra, której męża zmobilizowano tuż przed napaścią Rosji, z dwójką dzieci w wieku osiem i dwanaście lat, i ja z moimi synkami - Saszą, lat niespełna trzy i Jurą, który tuż przed wyjazdem obchodził szóste urodziny. Cały zabrany majątek każdej z nas mieścił się w jednej walizce. Tyle dało się zabrać do samochodu teścia Olgi. Na szczęście było zimno, więc sporo ubrań można było włożyć na siebie. Dramatyczności podróży nie ma co opisywać, bo samo wspomnienie — choć upłynęło ponad pół roku — dalej wywołuje grozę.

Przyjęta zostałam nad wyraz ciepło. Moi gospodarze, państwo Rudkowscy, w wieku prawie sześćdziesięciu lat, okazali nam naprawdę wiele serca. Dysponowali wolnym pokojem, a właściwie nawet dwoma, na poddaszu domku po tym, jak „na swoje” wyprowadziła się od nich córka. Być może pustka po przeprowadzce córki spowodowała, że tęsknili za towarzystwem. Jak mówił pan Andrzej, wyprowadzka córki do chłopaka, to jakaś szansa dla nich na wnuki. A pragnęli tych wnucząt chyba bardzo, bo z wielką czułością zaopiekowali się moimi dziećmi.

Zwłaszcza pan Andrzej, który jako emerytowany strażak, miał więcej, a nawet dużo, wolnego czasu. Ja zgłosiłam gotowość pomocy w codziennych obowiązkach, ale pan Andrzej powiedział:

— Ty, Oksana, masz dzieci do opieki. Jak będziesz miała ich dosyć, to przysyłaj je tutaj do mnie na dół, a ja im znajdę jakieś zajęcie.

Tak też było, z tym że już po kilku dniach zaczęło się dzieć zupełnie odwrotnie — musiałam niemal siłą zabierać chłopców na górę, bo opowieści, a zwłaszcza zabawy pana Andrzeja i wspólne baraszkowanie na wielkim tapczanie, tak ich wciągały. Zdarzało się, że zmęczony zabawą Sasza, zasypiał przytulony do gospodarza, więc śpiącego zanosłam na górę.

Pan Andrzej, jako zapalony wędkarz, miał kolekcję akcesoriów wędkarskich. Te wszystkie błystki, kołowrotki, czy wędziska były dla synów tak wciągające, że nawet ja nauczyłam się ich nazw, a oni najchętniej bawili by się nimi całą dobę. A ile pytań do wujka przy tym mieli! Do wujka, bo taką formułę zastosowaliśmy od początku. Jednak od każdej przyjętej przez człowieka reguły, mogą się zdarzać odstępstwa. Te odstępstwa, a właściwie zapomnienie się, częściej było udziałem Saszeńki. Nic dziwnego, miał przecież dopiero trzy lata.

Pani Wiesława znalazła mi dorywcze zatrudnienie w kwiaciarni. Pan Andrzej, przygotowując do pracy, nauczył mnie w mig języka polskiego.

— Oksana, zapamiętaj — mówił. — Język ukraiński jest podobny do polskiego. Jeśli tylko zamiast „ja robiła” będziesz mówiła „ja robiłam”, będziesz mówiła po naszymu. Rozumiesz?

— Ja poniała —kiwnęłam głową. I natychmiast się poprawiłam:

— Ja poniałam.

Przewrażliwiona byłam tym „m” do tego stopnia, że zdarzało mi się czasem umieścić je tam, gdzie wcale nie było potrzebne. Nauka się przydała i nawet Oldze przekazałam instrukcję, jak to z „m” w polskim jest.

Nigdy nie myślałam, że praca w otoczeniu pięknych kwiatów i w przeróżnych zapachach, może być aż tak ciężka. Szybko nauczyłam się podstawowych zasad obchodzenia z roślinami, układania ich w wazonach, a nawet komponowania bukietów. Stopniowo właścicielka kwiaciarni dopuszczała mnie także do obsługi klientów. Wbrew moim obawom, kupujący kwiaty, słysząc mój ukraińsko-polski język, wykazywali dużo życzliwości, a zawołanie „Sława Ukraini” słyszałam niemal na zakończenie każdej wizyty polskiego klienta.

Bywały często takie sytuacje, że obie z panią Wiesią byłyśmy poza domem, a chłopcy zostawali pod opieką pana Andrzeja. Oni nawet czasem nie zauważali, zwłaszcza Sasza, że ja wychodzę. Po jakimś czasie wychwyciłam, że chłopcy zwracają się do pana Andrzeja per „ty”. Chciałam reagować, a wtedy gospodarz powiedział, że to on ich tak uczy, że tak będzie wygodniej, a nawet że tak może będzie lepiej. Nie wiedziałam, dlaczego ma być lepiej mówić „Andrij” niż „djadko”. Okazało się dopiero potem, iż chodziło o to, żeby nie mówili „batko”, bo to pan Andrzej pierwszy zauważył, że coraz częściej zwracają się chłopcy do niego, jak do ojca, choć

tego mi wtedy wprost nie powiedział.

Kiedy również starszy syn, na widok mnie powracającej z kwiaciarni, zawołał: „Dziś byliśmy z tatą na rybach”, zaniemówiłam. Teoretycznie była przecież taka możliwość, że Hrihorij nas tu odnalazł i na jakąś przepustkę przyjechał. Dopiero za moment dotarło do mnie, że chodzi o pana Andrzeja.

— I tata złowił wielką lybę — dodał uradowany Saszeńka.

W tym momencie już wiedziałam, że mieszkanie w Kijowie nie stanowi żadnej wartości w konfrontacji z dobrem mojej rodziny, moich dzieci. Musimy wracać. W jedną walizkę się nie zmieściliśmy tym razem. Był nawet kłopot, by dało się wszystko, co znieśli znajomi państwa Rudkowskich, zapakować do osobowego nissana, gdy pan Andrzej odwoził nas następnego dnia na Dworzec Zachodni.

